

Robert Howard

Conan i Dom pełen łotrów



calibre 0.9.27

DOM PEŁEN ŁOTRÓW

Powiadają legendy, że najpotężniejszy wojownik ery hyboryjskiej, człek - jak pisał nemedyski kronikarz - który „swemi obutymi w sandały stopy podeptał zdobne w klejnoty trony Ziemi”, urodził się na polu bitwy, w czym miała być wieszczba jego przyszłych losów. Jest to możliwe, albowiem niewiasty - cymmeryjskie równie sprawnie jak ich mężowie władały orężem, nie można tedy wykluczyć, iż matka Conana, nie bacząc na poważny swój stan, pospieszyła, by odpierać atak wrażeń Vanirów. Wśród wojen zaczepnych i odpornych, toczonych z niewielkimi tylko przerwami przez bitne klany Cymmercycyków, upływało dzieciństwo Conana. Po ojcu, kowalu i płatnerzu, obdarzony nad wiek okazałą posturą brał w nich udział, odkąd mógł unieść miecz w dłoni. Miał piętnaście lat, gdy zjednoczone plemiona cymmeryjskie obległy, zdobyły i puściły z dymem Venarium, gród pograniczny wzniesiony przez ekspansywnych Aquilończyków na ziemiach tradycyjnie przynależnych Cimmerii. Był jednym z tych, co najwścieklej darli się na mury i najgłębiej ubroczyli oręż we wrogiej krwi. Jego imię poczęto wymawiać z szacunkiem przy ogniskach narad. Po zdobyciu Venarium spędził Conan czas jakiś w rodzinnym szczepie, u boku sprzymierzonych Aesirów czyniąc wyprawy na tradycyjnie wrogich Vanirów. W jednej z owych wypraw dostał się do niewoli, ale z niej zemknął i ruszył na południe. Dotarł do Arenjun, zamoryjskiego Miasta Złodziei, w którym rozpoczął trwającą kilka lat karierę zawodowego rabusia, kontynuowaną w stolicy Zamory, Shadizarze, w królestwach Corinthii i Nemedii...

1.

Podczas dworskiego festynu Nabonidus, Czerwony Kapłan, rzeczywisty władca stolicy, dyskretnie dotknął ramienia młodego arystokraty Murila, ten zaś odwrócił się, by napotkać zagadkowe spojrzenie dostojnika. Żaden z nich nie wyrzekł ani słowa; Nabonidus skłonił się tylko i podał Murilowi niewielkie złote puzderko. Świadom, że niczego bez powodu Nabonidus nie czynił, młody szlachcic wymknął się przy pierwszej nadarzącej się okazji i w pośpiechu wrócił do swej komnaty. Tu otworzył puzdro; znalazł w nim ludzkie ucho, łatwe do rozpoznania dzięki szczególnej bliźnie. Krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło - nie miał już wątpliwości, jaką to myśl ukrytą wyrażało spojrzenie Czerwonego Kapłana. Pomimo jednak swych uperfumowanych, trefionych czarnych loków nie był Murilo słabeuszem, zginającym bez walki kark przed katem. Nie wiedział, czy Nabonidus igra z nim tylko, czy też umożliwia ucieczkę na dobrowolne wygnanie;

już to, iż żył jeszcze i był wolny, dowodziło, że dano mu co najmniej kilka godzin - zapewne do namysłu. Lecz nie namysłu i decyzji potrzebował - potrzebował narzędzia. A wyposażyła go w owo narzędzie Fortuna, nie przestająca działać pomiędzy spelunkami i burdelami dzielnic nędzy nawet wtedy, gdy w swym domu, w części stolicy zajmowanej przez pałace arystokracji, wieńczone purpurowymi wieżami, strojne w marmur i kość słoniową, rozdygotany Murilo rozmyślał nad sposobem pokrzyżowania Nabonidusowych planów.

A był pewien kapłan boga Anu, którego świątynia wznosząca się na obrzeżu dzielnicy nędzy stanowiła scenę czegoś więcej niżli tylko obrzędów i modłów. Kapłan ów, tłusty i dobrze odżywiony, uprawiał paserstwo, będąc równocześnie szpiegiem na usługach gwardii. Interes prosperował kwitnąco, a złoto dwoma wartkimi strumieniami wpływało do skatupy kapłana, jako że dzielnicą, z którą graniczyła świątynia, był Labirynt - plątanina błotnistych, krętych uliczek, plugawych spelunek nawiedzanych przez najbardziej notorycznych złodziei i hultajów w królestwie. Odwagą i bezczelnością wyróżniali się spośród nich gunderskiego pochodzenia dezenter z wojsk najemnych i pewien cymmeryjski barbarzyńca.

Pierwszego za sprawą kapłana Anu schwytano i obwieszono na placu targowym, Cymmeryjczyk atoli umknął; dowiedziawszy się okreźną drogą o zdradzie kapłana, wtargnął nocą do świątyni i skrócił donosiciela o głowę.

W mieście zawrzało. Poszukiwania zabójcy były wszakże bezskuteczne, dopóki pewna ładacznicza nie wydała Cymmeryjczyka w ręce królewskiego rontu - zaprowadziła kapitana straży i jego drużynę do ukrytej komory, gdzie spoczywał zmożony pijackim snem barbarzyńca. Gdy jęli go pętać, ocknął się - wraził sztylet w gardło oficera, przedarł się przez pozostałych napastników i uszedłby niechybnie, gdyby nie trunek, wciąż jeszcze zaćmiewający zmysły; rozjuszony, na wpół oślepy, szybując tygrysim skokiem ku wolności, nie trafił w otwarte drzwi i tak potężnie huknął łbem o kamienną ścianę, że padł bez czucia i świadomości. Przeszedł do siebie dopiero w najgłębszym lochu miasta, przykuty do ściany łańcuchami, którym nawet jego olbrzymie mięśnie nie mogły dać rady. Na poły siedząc, na poły leżąc, mając za posłanie garść jeno zgniłej słomy, przeklinał barbarzyńca moc kwaśnego wina i dziewczkę zdradliwą, gdy szczęknęły rygle, a do lochu wkroczył człek z twarzą zamaskowaną, owinięty szerokim, czarnym płaszczem. Cymmeryjczyk przyglądał mu się z zainteresowaniem, odgadując w nocnym gościu oprawcę, przysłanego, by mu gardło cichcem poderżnął; upewniała go w tym ciekawość z jaką przybysz mierzył go wzrokiem. A nawet w piwnicznym półmroku, mimo pętających członki jeńca łańcuchów, potężne, imponująco umięśnione ciało Cymmeryjczyka sprawiało wrażenie, iż drzemiał w

nim siły niedźwiedzia i szybkość pantery. Spod czarnej zwichrzonej grzywy niebieskie oczy lśniły niepohamowaną dzikością.

- Czy chcesz żyć? - zapytał Murilo, on to bowiem nawiedził pojmanego zabójcę. Barbarzyńca mruknął, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania; choć nie wyrzekł ani słowa, siła wyrazu ożywionego nadzieją spojrzenia była dostatecznie wymowną odpowiedzią.

- Chcę, byś zabił dla mnie człowieka.

- Kogo?

Głos Murila zniżył się do szeptu:

- Nabonidusa, królewskiego kapłana.

Cymmeryjczyk nie okazał zdumienia ani obawy; obcy był mu nawet cień szacunku dla wielkich tego świata - król czy żebrak, nie widział różnicy. Nie przyszło mu też do głowy pytanie, dlaczego Murilo zwrócił się do niego właśnie, choć dzielnice nędzy pełne były korzystających z wolności płatnych skrytobójców.

- Kiedy będę wolny?

- Nim minie godzina. W nocy tej części więzienia pilnuje tylko jeden strażnik; można go przekupić. Mówiąc ściśle: już jest przekupiony. Spójrz - oto klucze: zdejmę twe łańcuchy, a gdy od mego odejścia czas upłynie bezpieczny, strażnik Athicus drzwi twej celi otworzy. Athicusa powalisz i strzępami swej tuniki zwiążesz; na tak sprawionego nie padnie podejrzenie, a wszyscy uwierzą, że pomoc dla cię z zewnątrz nadeszła.

Idź od razu do domu Czerwonego Kapłana i zabij go; udaj się potem do Szczurzej Nory, gdzie pewien człowiek da ci konia i trzos pełen złota - tak opatrzony zdołasz wymknąć się z miasta i opuścić kraj.

- Zdejmuj natychmiast te przekłete okowy! - zażądał Cymmeryjczyk. - I każ strażnikowi, by mi przyniósł spyżę. Na Croma! Dzień cały przeżyłem o chlebie i wodzie i prawiem szczeżł z głodu!

- Stanie się, jak rzekłes, ale pamiętaj: nie wolno ci uciec, nim będę miał dość czasu, by dotrzeć do mego domostwa.

Uwolniony z łańcuchów barbarzyńca wstał i przeciągnął się, prężąc potężne ramiona; w półmroku kazamaty przypominał olbrzyma. Murilo pomyślał, że jeśli ktokolwiek na świecie byłby w stanie zgładzić Czerwonego Kapłana, to ten Cymmeryjczyk jest do tego zdolny.

Raz jeszcze młody szlachcic gwoli pewności powtórzył swój plan, po czym opuścił więzienie, przed wyjściem polecając Athicusowi, by zaniósł jeńcowi misę jadła i kwartę piwa. Wiedział, że strażnikowi może ufać nie tylko z powodu hojnie sypniętego złota; posiadał informacje, których ujawnienie groziło Athicusowi

stryczkiem.

Dopiero znalazłszy się z powrotem w swej komnacie Murilo odzyskał spokój ducha. Nabonidus działałby rękami bezwolnego króla - tego był pewien. A przecież królewscy strażnicy nie kołatali do jego drzwi; oznaczało to, że kapłan nie powiedział królowi nic - na razie... Jutro niechybnie byłby to uczynił - gdyby dożył jutra.

Murilo wierzył, iż Cymmeryjczyk dotrzyma umowy; inną rzeczą było to, czy zdoła cel wyznaczony osiągnąć. Po wielokroć już próbowano zgładzić Czerwonego Kapłana - i nasyłani zbójcy umierali tajemniczą śmiercią. Choć i przebiegli bywali, i okrutni, i zuchwali - ginęli jednak; wychowani w miastach, nie posiadali wilczych instynktów barbarzyńcy.

Murilo ujrzał wyjście ze swej niewesołej sytuacji w chwili, gdy obracając w dłoniach złote puzderko z wiadomą zawartością, dowiedział się swymi sekretnymi kanałami o pojmaniu Cymmeryjczyka. Teraz w spokoju swej komnaty wznosił toast za człowieka imieniem Conan i za jego powodzenie tej nocy.

Sączył jeszcze wino, gdy jeden z jego szpiegów przyniósł wieść, iż Athicusa aresztowano i osadzono w twierdzy. Cymmeryjczyk tedy nie uciekł...

Murilo po raz wtóry poczuł, jak krew w jego żyłach lodowacieje. Dostrzegł w owej odmianie fortuny diabelską rękę Nabonidusa; pojął nagle, że ulega oto niesamowitej obsesji: roіło mu się, że Czerwony Kapłan nie człowiekiem jest, a czarownikiem zdolnym czytać w myślach swych ofiar, pociągającym za struny, na których tańczą jak marionetki.

Desperacja rodzi determinację. Kryjąc miecz pod czarną opończę, wybiegł Murilo z domu ukrytym wyjściem i pośpieszył opustoszałymi ulicami. Zbliżała się północ właśnie, gdy stanął przed domem Nabonidusa, mającym czarną bryłę pośród ogrodu otoczonego murem, oddzielającym posiadłość kapłana od sąsiedniej posesji. Mur był wysoki, ale możliwy do pokonania. Nabonidus nie wierzył w przeszkody tak proste jak kamienna bariera; to, czego naprawdę należało się obawiać, znajdowało się za murem. Murilo nie wiedział dokładnie, na co może się natknąć; powiadano, że olbrzymi, krwiożerczy pies włóczy się po ogrodzie, od czasu do czasu rozdzierając kogoś na strzępy tak, jak ogar rozdziera królika. Co więcej mogło nań czyhać za murem - nie próbował nawet przewidzieć.

Ludzie, którym w sprawach wagi państwowej dozwolano na krótko wejść do domu, opowiadali, że Nabonidus otaczał się przepychem, ale poprzestawał na zaskakująco nielicznej służbie; w istocie widywano tylko jednego służącego - wysokiego, małomównego człeka imieniem Joka. Kogoś innego - zapewne niewolnika - słyszano poruszającego się w zakamarkach domu, osoby tej nie

widział jednak nikt. Największą niewiadomą tajemniczego domostwa był sam Nabonidus. Siła jego intryg i rozległy wpływ nawet poza granicami państwa uczyniły zeń najpotężniejszego człowieka w królestwie. Lud, kanclerz i król jak bezwolne kukły tańczyli na strunach skupionych w rękach Czerwonego Kapłana. Murilo wspiął się na mur i zeskoczył do ogrodu pogrążonego w cieniach, zagęszczonych miejscami przez rozłożyste krzewy i poruszane wiatrem listowie. Żadne światło nie rozjaśniało okien domu, odcinającego się czarną bryłą na tle nocnego nieba. Młody szlachcic przemykał ostrożnie przez kolczaste chaszczki; rozgorączkowana wyobraźnia płatała figle: chwilami zdawało mu się, że słyszy ujadanie wielkiego psa - lada moment spodziewał się ujrzeć potężne cielsko śmigające nań z ciemności. Wprawdzie wątpił w skuteczność swego miecza przeciwko takiemu atakowi, ale nie zawahał się. Czy w kłach bestii, czy od katowskiego topora - umiera się podobnie.

Nagle potknął się o coś masywnego i podatnego zarazem. Schylił się, by lepiej widzieć w nikłym świetle gwiazd - i rozpoznał bezwładny kształt. U jego stóp leżał pies pilnujący ogrodu - martwy pies. Miał skręcony kark, a na ciele ślady wyglądające jak rany zadane wielkimi kłami. Murilo był pewien, że nie mogła tego dokonać żadna ludzka istota; najwyraźniej bestia napotkała potwora potężniejszego od siebie. Młody szlachcic spojrzał nerwowo w stronę tajemniczej gęstwiny chaszczki i krzewów; dreszcz przebiegł mu po grzbiecie. Ruszył w stronę pogrążonego w ciszy domu. Pierwsze drzwi, których spróbował, były otwarte. Ujął mocniej rękojeść miecza i przekroczył próg; znalazł się w długim, mrocznym korytarzu, słabo rozświetlonym promykami wnikającym obok zasłony przegradzającej odległe wyjście.

Grobowa cisza wisiła w powietrzu.

Murilo jął się skradać korytarzem; zatrzymał się na końcu, by poprzez szparę w zasłonie ujrzeć oświetlony pokój o oknach szczelnie zasłoniętych aksamitnymi storami tak, by ani promyk światła nie przedarł się na zewnątrz. Pokój był pusty - jeśli pustką nazwać brak żywej istoty; kogoś w nim jednak Murilo zobaczył.

Pośród rumowiska mebli i pozrywanych ze ścian tkanin, co świadczyło o rozegranej tu straszliwej walce, leżała ludzka postać. Spoczywała na brzuchu, lecz głowa jej tak była skręcona, że podbródek pozostał aż za ramieniem. Rysy twarzy, zastygłej w przeraźliwym grymasie, układały się w kształt złośliwego uśmiechu. Po raz pierwszy Murilo poczuł tej nocy, że jego determinacja słabnie. Niepewnie spojrzał w stronę, z której nadszedł, ale wizja katowskiego pnia i topora podziałała nań jak nowy zastrzyk woli: ruszył przez pokój, starając się unikać widoku ciała rozciągniętego na środku. Choć człowieka tego nie widział nigdy przedtem, dzięki zasłyszczonym opisom odgadł, iż był to Joka, ponury sługa

Nabonidusa.

Przez uchylone drzwi, przesłonięte storą, zajrzał do szerokiej, okrągłej komnaty, otoczonej galerią w połowie wysokości pomiędzy błyszczącą posadzką a wyniosłym sklepieniem. Sala ta urządzona była z istic królewskim przepychem. Na środku stał bogato rzeźbiony mahoniowy stół, dźwigający bezlik naczyń z winem i kosztownymi potrawami.

Wtem... Murilo skamieniał - na wielkim fotelu zwróconym oparciem w jego stronę spostrzegł postać przyobleczoną w szaty powszechnie znane w całym królestwie. Czerwony rękaw skrywał ramię spoczywające na poręczu, głowa, nakryta szkarłatnym kapturem habitu, nieco pochylała się jakby w zamyśleniu. Takim właśnie widywał Murilo Nabonidusa na królewskim dworze - setki razy. Przeklinając bicie własnego serca, młodzieniec począł się skradać; uniósłszy miecz, całym ciałem gotował się do zadania ciosu. Choć był coraz bliżej, ofiara nie drgnęła; odniósł wrażenie, że jego ostrożnie stawiane kroki nie zostały usłyszane. Czyżby Czerwony Kapłan zasnął? Jeden krok dzielił Murila od jego wroga, gdy nagle siedzący w fotelu wstał i odwrócił się, i spotkały się ich spojrzenia.

Krew odpłynęła w jednej chwili z członków Murila. Rękojeść miecza wysunęła się ze zmartwiałej dłoni, a klinga uderzając o marmurowe płyty posadzki jęknęła metalicznie. Okropny krzyk wydarł się spoza zsiniałych warg i nim zamarł, inny dźwięk zmieszał się z jego echem - głuchy łoskot padającego ciała. W domu Czerwonego Kapłana zapanowała cisza.

2.

Wkrótce po odejściu Murila z lochu, w którym osadzony był Conan Cymmeryczyk, Athicus przyniósł więźniowi tacę z posiłkiem złożonym z kufła piwa i potężnego połcia mięsa. Conan żarłocznie rzucił się na jadło; gdy się posilał, Athicus ruszył na ostatni obchód cel chcąc sprawdzić, czy wszystko przebiega zgodnie z planem, tak aby nikt nie stał się mimowolnym świadkiem zaplanowanej ucieczki. Zajęty był jeszcze obchodem, gdy oddział gwardii wtargnął do więzienia i aresztował go. Murilo mylił się sądząc, iż aresztowanie owo ma związek z przygotowaną ucieczką Conana - prawda była inna: Athicus zbyt otwarcie wdawał się w konszachty z występłą gawiedzią Labiryntu, aresztowanie zaś było konsekwencją jednego z dawniejszych grzechów strażnika. Inny wartownik zajął jego miejsce - otępiałe i bierne indywiduum, którego żadna łapówka nie byłaby w stanie skłonić do zaniechania

regulaminowych obowiązków. Brak mu było wyobraźni, co nadrabiał przesadnie głębokim przekonaniem o ważności pełnionej przezeń funkcji. Kiedy zamilkły już krzyki wleczonego przez gwardzistów Athicusa, nowy strażnik rozpoczął rutynowy obchód korytarzy. Gdy dotarł do celi Conana, jego głęboko zakorzenione poczucie dyscypliny doznało wstrząsu: ujrzał uwolnionego z łańcuchów więźnia, który kończył właśnie ogryzać resztki pieczonego z potężnej kości wołowej. Widok ten tak wielce wzburzył strażnika, że popełnił błąd: nie przyzywając wartowników z innych części więzienia sam wszedł do celi. Była to jego pierwsza, a zarazem ostatnia pomyłka na służbie. Conan bowiem zgruchotał mu czaszkę wołowym gnatem, przywłaszczył sobie jego puginał i pęk kluczy, po czym spokojnie opuścił celę. Tej nocy, zgodnie ze słowami Murila, czuwał tylko jeden strażnik; Cymmeryjczyk, korzystając z kluczy, rychło znalazł się na wolności, tak jak gdyby plan Murila się powiódł. W cieniu więziennych murów Conan zatrzymał się, by podjąć decyzję co do swych dalszych poczynań. Pomyślał zrazu, że skoro zbiegł z lochu o własnych siłach, nic Murilowi nie jest winien. Pamiętał jednak, że to młody szlachcic zdjął zeń łańcuchy i nakazał przysłać pożywienie - bez tych przysług ucieczka byłaby niemożliwa. Conan uznał więc, iż jest jednak dłużnikiem Murila, a będąc człekiem zawsze dotrzymującym danego słowa, postanowił wypełnić swoją część umowy z młodym arystokratą.

Pierwej atoli musiał zająć się pewną własną sprawą. Cisnął precz podartą tunikę i okryty jedynie przepaską biodrową ruszył w noc. Idąc, zbadał dotykem zdobyczny puginał - morderczą broń o szerokiej, obosiecznej klindze długości dziewiętnastu cali. Skradał się ulicami i ciemnymi placami, póki nie dotarł do dzielnicy będącej celem jego marszu - do Labiryntu.

Odtąd poruszał się już z pewnością bywalca tych stron. A droga wiodła przez istny gąszcz ciemnych zaułków, zamkniętych podwórek i okrężnych ścieżek, przez świat tajemniczych dźwięków i nachalnych odorów. Ulice nie miały tu chodników; błoto i wszelaki śmieć pokrywały je grubą warstwą obrzydliwej brei; odchody wyrzucane wprost na ulicę odkładały się w cuchnące przyzmy i zionące fetorem kałuże. Jeśli nie szło się dostatecznie ostrożnie, łatwo było stracić grunt pod nogami i zapaść się do pasa w śmierdzącą maź. Nierzadko też zdarzało się potknąć o człowieka z poderżniętym gardłem lub głową pogrążoną w bagnie. Uczciwi obywatele mieli powody, aby omijać Labirynt z daleka.

Conan nie zauważony dotarł do celu w chwili, gdy ktoś, kogo bardzo pragnął spotkać, właśnie miał się oddalić. Gdy Cymmeryjczyk wśliznął się na podwórzec, w komorze o piętro wyżej dziewczyna, która sprzedała go straży miejskiej, odprawiała właśnie swego nowego kochanka. Zamknąwszy za sobą drzwi,

młody rzezimieszek szukał po omacku drogi po skrzypiących schodach, pogrążony w myślach związanych, jak u większości mieszkańców Labiryntu, z przestępczym zagarnięciem cudzego mienia. Nagle w pół drogi stanął, a włos zjeżył mu się na głowie. Ujrzał przed sobą niewyraźny zarys cielska czającego się do skoku i parę oczu pałających jak ślepią polującej bestii. Drapieżne warknięcie było ostatnim dźwiękiem w życiu, jaki słyszał, potwór bowiem, zaczajony w mroku, skoczył i ostrą klingą rozpruł mu trzewia. Rzezimieszek zdążył wydać jeden stłumiony okrzyk i martwy osunął się na schody. Barbarzyńca śmignął nad nim; wyglądał jak upiór, a oczy jego gorzały w ciemnościach złowieszczą poświatą. Wiedział, że odgłos padającego ciała został dosłyszany, lecz wiedział także, iż mieszkańcy Labiryntu nie zwykli wtrącać się w nie swoje sprawy. Przedśmiertny krzyk na ciemnych schodach nie był tu niczym niezwykłym; zapewne później, po rozsądnie bezpiecznym upływie czasu, ktoś zechce sprawdzić, co się stało. Conan wspiął się po schodach i stanął przed znajomymi sobie od dawna drzwiami; były zamknięte od środka, lecz klinga puginału wsunięta w szczelinę przy wypaczonej framudze uniosła zasuwę. Wszedł i zamknął za sobą drzwi; stał przed dziewczką, która sprzedała go straży. Odziana tylko w nocną koszulę ulicznica siedziała w kucki na skotłowanym legowisku. Zbladła; patrzyła na niego jak na zjawę; słyszała krzyk na schodach, teraz dostrzegła ciemne plamy na trzymanym przezeń puginału. Zbyt jednak mocno ogarnęła ją obawa o własną głowę, by miała trwonić czas na lamenty nad oczywistym losem swego kochanka. Jęła żebrać o życie, a język plątał się jej z przerażenia. Conan milczał; po prostu stał, mierząc ją przymrużonymi oczyma; badał przy tym ostrze puginału na zgrubiałym naskórku kciuka. W końcu ruszył przez izbę; dziewczka wtuliła się w ścianę i wydając słabe jęki, wciąż błagała o litość. Barbarzyńca uchwycił ciężką ręką jej jasne włosy i ściągnął ją z barłogu. Wsunął puginał do pochwy, złapał wierzgającą brankę pod swe lewe ramię i ruszył ku oknu. Jak w wielu budynkach tego typu, tak i tu każde piętro okalał gzyms, będący przedłużeniem wysuniętych parapetów. Conan kopniakiem otworzył okno i wstąpił na ów otaczający dom wąski występ. Gdyby ktoś nie spał lub był w pobliżu, miałby niecodzienny widok: oto rosły mąż ostrożnie posuwa się po gzymsie, niosąc pod pachą półnagą, wierzgającą dziewczkę. Ów ktoś zapewne nie byłby bardziej zdziwiony niż sama branka. Osiągnąwszy upatrzony punkt Conan stanął, chwytając się nierówności ściany wolną ręką. Z wnętrza domu zaczęły dochodzić odgłosy świadczące o tym, iż ktoś w końcu odkrył ciało na schodach. Dziewczyna poczęła się wiercić, błagając i skowycząc na przemian. Conan spojrzął w dół na błoto i nieczystości zalegające ulicę; przez moment wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z domu,

po czym celnie cisnął dziewczkę wprost do dołu kloaczego. Chwilę napawał się widokiem szamoczącej się i grzęznącej w gnoju zdrajczyni, z lubością wsłuchując się w płynący z jej ust potok jadowitych przekleństw; zarechotał nawet basowym śmiechem, na co pozwalał sobie nader rzadko. Odwrócił głowę, dobiegł go bowiem narastający we wnętrzu domu tumult; podjął szybką decyzję: nadszedł czas, by zabić Nabonidusa.

3.

Wibrujący echem metaliczny hałas zbudził Murila, który jęknął, natężył siły i, wciąż chwiejny, usiadł z trudem, wspierając się o wilgotny mur. Otaczała go cisza i ciemność; sądząc przez chwilę, że oślepl, omal nie omdlał z przerażenia. Powoli wracała mu pamięć; na myśl o niedawnych wydarzeniach ciałem jego wstrząsnął dreszcz. Dotykkiem stwierdził, że siedzi na posadzce z dokładnie dopasowanych bloków skalnych. Macając dalej, odkrył ścianę z tego samego materiału. Wsparł się o nią, by nie stracić równowagi, próbując zarazem odgadnąć, gdzie się znajduje. Wnet pojął, iż w piwnicy lubo więziennym lochu, od jak dawna wszakże - nie mógł się zorientować. Mglisto pamiętał metaliczny odgłos, który go zbudził; zastanawiał się, czy był to łoskot zatrzaśniętych za nim żelaznych wrót celi, czy też dźwięk przypominał wejście przysłanego doń siepacza. Zadygotał cały na tę myśl i począł wymacywać dłońmi drogę wzdłuż ściany; przez moment spodziewał się osiągnąć granicę celi, lecz po chwili doszedł do wniosku, że posuwa się biegnącym w dół korytarzem. W obawie przed wpadnięciem do studni czy innej pułapki trzymał się ściany. Od pewnego już czasu zdawał sobie sprawę z obecności c z e g o ś w pobliżu; nie widział nic - być może to słuch uchwycił jakiś dźwięk lub podświadomy zmysł ostrzegł przed niebezpieczeństwem. Stał, a włos mu się zjeżył: miał już pewność, że w mroku czai się jakaś żywa istota. Pomyślał tylko, że za chwilę serce odmówi mu posłuszeństwa, gdy głos z barbarzyńskim akcentem wyszeptał:

- Czy to ty, Murilo?

- Conan!

Osłabły z wrażenia młody arystokrata ruszył po omacku przed siebie i dotknął dłońmi potężnego; nagiego ramienia.

- Dobrze, zem cię rozpoznał - mruknął barbarzyńca. - Właściem miał cię zadźgać jak tłustą świnię.

- Gdzież jesteśmy, w imię Mitry? - jęknął słabym głosem Murilo.

- W piwnicach pod domem Czerwonego Kapłana.

- Jaką mamy porę?

- Niedawno minęła północ.

Murilo, jeszcze oszołomiony, potrząsnął głową, starając się zebrać rozproszone myśli.

- A ty skądżeś się tu wziął? - zapytał Cymmeryjczyk.

- Przybyłem, by zabić Nabonidusa. Dowiedziałem się, że zmienili wartę w twym więzieniu...

- Ano, zmienili - mruknął Conan. - Rozwaliłem łeb nowemu strażnikowi i wyszedłem. Byłbym tu już wiele godzin temu, ale musiałem zadbać o pewną sprawę osobistą. A więc - co teraz? Czy zapolujemy na Nabonidusa?

Murilo zadrżał:

- Conanie, jesteśmy w domostwie arcycyzatana. Przybyłem, szukając wrogiego człowieka, a zastałem włochatego diabła rodem prosto z piekieł!

Conan niepewnie stęknął; nieustraszony jak ranny tygrys, dopóki miał stawać przeciw ludziom, jako człowiek prymitywny pełen był zabobonnego lęku przed zjawiskami nadprzyrodzonymi.

- Udało mi się wejść do domu - Murilo szeptał, jakby otaczająca ich ciemność pełna była nasłuchujących uszu. - W ogrodzie znalazłem Nabonidusowego brytana zatłuczonego na śmierć. Wewnątrz natknąłem się na Jokę - służącego; miał skręcony kark. Później ujrzałem samego Nabonidusa - odziany w rytualną szatę siedział w fotelu; w pierwszej chwili pomyślałem, że i on nie żyje - lub śpi. Podkradłem się, by dźgnąć go lub zarąbać, a on powstał... i spojrzał na mnie. O Mitro! - Wspomnienie przeżytej trwogi odebrało na chwilę mowę młodemu szlachcicowi, jakby ponownie przeżywał okropną scenę.

- Conanie - szepnął po chwili. - T o n i e c z ł o w i e k stał przede mną! Ciałem i posturą przypominało to człowieka, ale ze szkarłatnego kapłańskiego kaptura wзираła ku mnie twarz jak ze złego snu opętańca: pokryta czarną szczecią, wśród której tyskały czerwone prosięce oczka, nos miała płaski, o wielkich, falujących chrapach, szerokie, obwisłe wargi unosiły się, obnażając wielkie jak u psa, żółte kły. Dłonie wystające ze szkarłatnych rękawów były niekształtne i jak pysk - włosiem porośnięte. Wszystko to w jednej ujrzałem chwili; później opanowała mnie groza, postradałem zmysły i omdlałem.

- Co potem? - niecierpliwie mruknął Cymmeryjczyk.

- Ów potwór musiał cisnąć mnie do tych lochów; przytomność odzyskałem niedawno. Conanie, podejrzewałem, że Nabonidus czymś więcej jest niżli tylko człowiekiem; teraz wiem już na pewno: to w i l k o ł a k! Za dnia porusza się wśród ludzi w ludzkim przebraniu, nocą zaś przybiera swą prawdziwą postać.

- To oczywiste - stwierdził Conan. - Wszyscy wiedzą, że są ludzie przybierający

wedle woli kształt wilków. Lecz czemuż miałyby pobić swe sługi?

- Któż może pojąć rozum szatana? - odparł Murilo. - Teraz radźmy, jak się stąd wydostać - wszak ludzka broń nie ima się wilkołaka. Jak się tu dostałeś?

- Spodiewając się, że ogród jest strzeżony, wlałem w kanał ściekowy; tunelem się łączy z tym lochem. Myślałem, że znajdę jakieś nie zamknięte drzwi wiodące do wnętrza domu.

- Więc uciekajmy drogą, którą przyszedłeś! - wykrzyknął Murilo. - Niech to diabli! Jeśli wyjdziemy z tego gniazda węży, to i ze strażnikami królewskimi jakoś sobie poradzimy - zaryzykujemy ucieczkę z miasta. Prowadź, Conanie!

- Nic z tego - mruknął Cymmeryjczyk. - Droga do kanału zamknięta. Kiedym wszedł do tunelu, żelazna krata opadła z sufitu: gdybym nie uskokzył, jej ostrze przybiłoby mnie do podłogi jak glistę. Próbowałem ową kratę podnieść - ani drgnęła: nawet słoń by jej nie poruszył. A nic, co jest większe od królika, nie prześlizgnie się przez jej pręty.

Murilo zaklął paskudnie. Powinien był przewidzieć, że Nabonidus nie pozostawiłby żadnego wejścia do swego domu bez zabezpieczenia; gdyby Conan nie miał szybkości dzikusa, opadająca krata niechybnie przecięłaby go wpół. Najwidoczniej przejście Cymmeryjczyka uruchomiło spust jakiś ukryty, zwalniający kratę, byli więc uwięzieni.

- Nie ma tedy innej możliwości - rzekł Murilo czując, jak zimne strużki potu cieką mu po plecach - niż szukać innego wyjścia. Z pewnością wszystkie opatrzone są w pułapki, ale nie mamy wyboru.

Pomruk barbarzyńcy oznaczać miał zgodę. Ruszyli po omacku wzdłuż korytarza. Wtem Murilo coś sobie przypomniał

- Jak rozpoznałeś mnie w tych ciemnościach?

- Gdy wszedłeś do mej celi, poczułem perfumy, którymi polewasz swe loki - odparł Conan. - Poczułem je znowu, kiedym przed chwilą czał się w ciemności, gotując się do wyprucia ci bebeczków.

Murilo przyłożył jeden ze swych czarnych pukli do nosa i w pełni zdał sobie sprawę z czułości zmysłów barbarzyńcy: nawet teraz, dla powonienia mieszczucha, zapach ledwo był wyczuwalny.

Gdy ruszyli, ręka jego odruchowo opadła ku pochwie miecza. Zaklął: była pusta. Po chwili nikła poświata zamajaczyła przed nimi; doszli do ostrego zakrętu korytarza i razem wychylili się zza węgła; Murilo półleżąc na Conanie poczuł nagle, jak mocarne ciało barbarzyńcy tężeje, wtedy spostrzegł, że w korytarzu poza zakrętem leży bezwładne, półnagie ludzkie ciało, cokolwiek oświetlone przez promienie zdające się emanować z widniejącej w oddali na ścianie szerokiej, srebrnej tarczy. Zarysy leżącej postaci zdały mu się dziwnie

znajome... Straszne i niewytłumaczalne zarazem podejrzenie opanowało Murila. Gestem nakazując Cymmeryjczykowi, by podążył za nim, ruszył naprzód i pochylił się nad ciałem. Przewyciężając obrzydzenie uchwycił leżącego za ramiona i odwrócił go na plecy.

Okropny okrzyk wydarł się z warg młodego szlachcica, stojący zaś obok niego Conan aż jęknął ze zdumienia.

- Nabonidus! Czerwony Kapłan! - wyrzucił z siebie Murilo. - Ale kto... co...

Leżący jęknął i zadrżał. Z kocią szybkością skoczył ku niemu Conan, mierząc puginałem w serce kapłana...

W ostatniej chwili Murilo schwycił go za zbrojną w morderczy oręż dłoń.

- Czeka! Jeszcze go nie zabijaj!

- Czemu nie? - zdziwił się Cymmeryjczyk. - Wszak widzisz, że zrzucił skórę wilkołaka i śpi; czy zbudzisz go, by rozdarł nas na strzępy?

- Poczekaj. - Po wstrząsie, jakiego doznał przed chwilą, Murilo z wolna przychodził do siebie. - Spójrz on nie śpi - widzisz ten siniak na wygolonej skroni? Ogluszono go - mógł tu leżeć od wielu godzin.

- Zdawało mi się, żeś widział go tam, w domu, na górze, pod postacią bestii.

- Tak, widziałem! A może... On się budzi! Powstrzymaj twe ostrze Conanie, uwikłaliśmy się w sprawy poważniejsze, niż mogłem przypuszczać; zanim zabijemy kapłana, muszę dobyć z niego języka.

Nabonidus uniósł drżącą rękę do obolałej skroni, jęknął i otworzył oczy; zrazu niewidzące i puste, po chwili odzyskały swą dawną przenikliwość. Jakby okropny nie był cios, który na czas jakiś pograżył w mroku bystry umysł kapłana, począł on teraz pracować ze zwykłą dla siebie szybkością. Przytomne już spojrzenie Nabonidusa omiotło kilkakrotnie otoczenie, by spocząć na twarzy Murila.

- Zaszczycasz swą obecnością mój biedny dom, panie - zaśmiał się chłodno kapłan, spoglądając przy tym na potężną postać, piętrzącą się za plecami młodego szlachcica. - Jak widzę, przywiodłeś ze sobą dzielnego osiłka; zali twój miecz nie wystarczy, by pozbawić życia moją mizerną osobę?

- Dość na tym - niecierpliwie uciął Murilo. - Jak długo tu leżysz?

- Pytanie trudne dla człowieka właśnie odzyskującego przytomność - odparł kapłan. - Nie wiem, jaką mamy porę; pamiętam tylko, że gdy mnie powalono, około godziny brakowało do północy.

- Któż zatem przebrany w twą szatę przebywa w domu?

- To musi być Thak - odparł Nabonidus, ostrożnie badając swe rany. - Tak, to z pewnością on. Czy rzekłeś: w mojej szacie? Parszywy pies!

Conan nie rozumiejąc o czym w jego przytomności mówiono, wiercił się niespokojnie, mruczając coś do siebie we własnym języku. Nabonidus rzucił nań

niespokojnym okiem.

- Nóż twego siepacza tęskni do mojego serca. Sądziłem, Murilo, że będziesz dostatecznie rozsądny i korzystając z mego ostrzeżenia, uciekniesz z miasta.
- Skąd miałem wiedzieć, iż byłoby mi to dane - zareplikował Murilo. - A poza tym tu trzymają mnie moje interesy.
- Dobrze się dobrałeś z tym oprawcą - mruknął - Nabonidus, łypiąc z ukosa na sylwetkę Conana. - Już od pewnego czasu miałem cię w podejrzeniu i dlatego zniknął ów blady szambelan. Nim umarł, powiedział mi wiele rzeczy, a między innymi nazwisko pewnego młodego szlachcica, który przekupił go, by zdobyć tajemnice dworu, odprzedane dalej przez owego młodzieńca sąsiednim dominiom. Zali się nie wstydzisz, Murilo, złodzieju o delikatnych rękach?
- Nie więcej mam powodów do wstydu niż ty, łajdaku o sercu sępa - odparł nie zmieszany Murilo. - Dla swej osobistej chciwości wyzyskujesz całe królestwo; przywdziawszy na twarz maskę znudzonego męża stanu oszukujesz króla, rujnujesz bogaczy, ciemniesz biedotę, a całą przyszłość narodu poświęciłeś dla zaspokojenia swych okrutnych ambicji. Niczym innym nie jesteś jak tylko tłustym wieprzem o ryju pograżonym w żłobie; nie mnie się równać z twą złodziejską sztuką. Ów Cymmeryjczyk najuczciwszy jest spośród nas trzech, kradnie bowiem i morduje otwarcie.
- No dobrze - ozwał się Nabonidus. - Jest tu nas trzech, godnych siebie łajdaków. Ale co dalej? Co będzie z moim życiem?
- Gdym ujrzał ucho zgładzonego przez ciebie szambelana, pojąłem, że wyrok na mnie już zapadł - rzekł gwałtownie Murilo. - Przypuszczałem, iż by mnie zgładzić, zechcesz się posłużyć rozkazem wydanym przez króla. Czyż nie miałem racji?
- Odgadłeś trafnie - odparł kapłan. - Pozbycie się szambelana było dziecinnie łatwe - mogłem sam o to zadbać: ty jesteś osobą zbyt znaczną, nawet dla mnie. Miałem tedy zamiar jutro z rana opowiedzieć królowi żarcik o tobie...
- Żarcik, który kosztowałby mnie głowę - warknął Murilo. - A zatem król nic nie wie o moich zagranicznych przedsięwzięciach?
- Jak dotychczas - westchnął Nabonidus. - Ale widząc nóż w rękach twego kompana zaczynam się obawiać, że żarcik ten nigdy nie będzie opowiedziany.
- Powinieneś wiedzieć, jak nas wydostać z tej kreciej nory - rzekł Murilo. - Powiedzmy, że daruję ci życie - czy w zamian pomożesz nam uciec i przysięgniesz zachować milczenie o mej... hm... niedyskrecji?
- Czy kapłan kiedykolwiek dotrzymuje przysięgi? - włączył się do rozmowy Conan. - Pozwól mi poderżnąć mu gardło, chcę sprawdzić, jakiego koloru jest jego krew. W Labiryncie powiadają, iż serce Czerwonego Kapłana jest czarne, tedy i krew jego także czarną być musi.

- Zamilcz, prostaku! - szepnął Murilo. - Jeśli ów łotr nie zechce pokazać nam wyjścia z tych lochów, zginiemy tu obaj.

I głośniejszym głosem dodał:

- A więc, Nabonidusie, cóż na to powiesz?

- Cóż może odpowiedzieć wilk z łapą w potrzasku - zaśmiał się kapłan. - Jestem w waszej mocy, lecz jeśli mamy stąd wyjść cało, musimy sobie wzajem pomagać. Przysięgam, iż jeśli przeżyjemy tę przygodę, zapomnę o twych ciemnych sprawkach - przysięgam na duszę Mitry!

- To mi wystarczy - osądził Murilo. - Nawet Czerwony Kapłan nie złamałby tej przysięgi. A teraz uchodźmy czym prędzej! Mój stojący obok przyjaciel dostał się tu przez tunel, lecz spadła za nim kratka odcinająca nam odwrót; czy możesz kratę tę podnieść?

- Nie z tego lochu. Dźwignia podnosząca kratę jest w komorze ponad tunelem. A stąd wyjść można tylko jedną jeszcze drogą i tę drogę zaraz wam pokażę. Lecz pierwszej zaspokój i mą ciekawość - odpowiedz, jakeś się tu dostał?

Murilo w kilku słowach opisał swe przypadki, zaś kapłan, wysłuchawszy go, skinął głową na znak, że wszystko zrozumiał, po czym z wolna uniósł się na nogi. Obolały jeszcze po długim spoczynku na kamiennej podłodze, powłócząc nogami ruszył korytarzem. Loch rozszerzał się, tworząc obszerną komorę; kapłan skierował się w stronę widniejącego na odległej ścianie srebrzystego kręgu. W miarę zbliżania się do owego miejsca natężenie światła rosło, choć wciąż pozostawało ono tylko rodzajem rozrzedzającej mrok metalicznej poświaty. Stanąwszy przy srebrzystym kręgu, ujrzeli wąskie schody wiodące ku górze.

- Oto jest i wyjście. Wiem na pewno, że drzwi, tam u szczytu, nie są zamknięte. Mam jednak wrażenie, iż ten, kto zechce przejść przez owe drzwi, lepiej by zrobił podrzynając sobie własnoręcznie gardło; spójrzcie - tu gestem wskazał srebrzyste koło.

To, co z dala wyglądało na srebrną płytę, było w istocie wielkim zwierciadłem osadzonym w ścianie. Zawity układ miedzianych rur wybiegał z muru ponad nim, zakręcając ku powierzchni lustra pod prostymi kątami; przyłożywszy oko do wylotu jednej z owych rur Murilo ujrzał oszałamiający ciąg wielu mniejszych luster. Z kolei młody szlachcic skupił uwagę na wielkim zwierciadle i nagle aż drgnął ze zdumienia; zaglądający mu przez ramię Conan tylko stęknął głucho, nie wierząc własnym oczom. Mieli wrażenie, iż zaglądają przez szerokie okno do wnętrza rześkiej oświetlonej komnaty; widzieli wielkie lustro na ścianach obitych aksamitem, kryte kosztownym jedwabiem łoża, fotele z hebanu zdobione kością słoniową; widzieli także liczne, zasłonięte kotarami drzwi - zapewne wejścia do innych komnat. Wiodąc dalej wzrokiem ujrzeli wielkie, czarne monstrum,

kontrastujące groteskowo z przepychem komnaty.

Murilo poczuł, że serce podchodzi mu do gardła; spojrzawszy w twarz potwora odniósł wrażenie, iż bestia patrzy mu prosto w oczy. Odruchowo odskoczył od lustra dostrzegając równocześnie, jak Conan zbliżył twarz do srebrzystej tafli, tak że niemal tykał jej wargami miotając obelgi i przekleństwa w swym barbarzyńskim języku.

- W imię Mitry, Nabonidusie! - Murilo ledwie dyszał z przerażenia. - Cóż to za ohyda?

- To Thak - spokojnie odparł kapłan, ostrożnie masując swą obolałą skroń. - Ktoś mógłby nazwać go małpą, lecz różni się on od małpy co najmniej tyle samo, co od człowieka. Jego lud żyje daleko na wschodzie, w górach obrzeżających wschodnie granice królestwa Zamory; plemię owo nieliczne jest, lecz wierzę, iż jeśli nie zostaną wybici, za jakie sto tysięcy lat staną się ludźmi. Obecnie są w stadium przejściowym, nie będąc, jak ich odlegli przodkowie, małpami, nie są też tym, czym mogą się stać z upływem millenniów ich potomkowie - ludźmi.

- Żyją w wysokich partiach niedostępnych gór, nie znając ognia, nie budując domów, nie odziani; nie znają też broni, a porozumiewają się mową złożoną głównie z pomruków i cmoknięć.

- Przygarnąłem Thaka, gdy był jeszcze szczeniakiem; z czasem uczył się wszystkiego szybciej i dokładniej niż jakiegokolwiek normalne zwierzę - był mi obrońcą i sługą zarazem.

- Lecz zapomniałem, iż istoty po części człowieczej nie da się zepchnąć do roli bezwolnego cienia tak, jak można by to uczynić ze zwyczajnym zwierzęciem. Najwidoczniej jego prymitywny mózg zachował uczucia złości, nienawiści i czegoś w rodzaju zwierzęcej ambicji.

- Uderzył, gdym się tego najmniej spodziewał. Dziś wieczorem jakby nagle zwariował, a jego zachowanie nosiło wszelkie znamiona zwierzęcego szału; nie zawiódł mnie jednak - wiedziałem, że musiał to już dawno zaplanować.

- Usłyszałem dochodzące z ogrodu odgłosy walki i gdy szedłem, by sprawdzić, co się dzieje - a sądziłem, iż to mój pies rozszarpuje ciebie, Murilo - nagle z zarośli wypadł na mnie Thak ociekający krwią. Zanim zdałem sobie sprawę z jego zamysłu, rzucił się na mnie i straszliwym ciosem twardego jak końskie kopyto kułaka poraził mą skroń. Nie pomnę nic więcej; domyślałem się jeno, iż wiedziony jakimś impulsem na poły ludzkiego mózgu, odarł mię z szat, a nagiego - acz ciągle żywego - do lochu cisnął. Dlaczego? Bogowie raczą wiedzieć.

- Z ogrodu wracał po zabiciu psa; później, w domu, sprawił Jokę - sameś widział jego martwe ciało; Joka stanąłby w mej obronie nawet przeciwko Thakowi, którego zresztą zawsze nienawidził.

Murilo wbił wzrok w kreaturę widoczną w lustrze; bestia siedziała z kamiennym spokojem przed zamkniętymi drzwiami.

Zadrżał, ujrawszy wielkie, czarne dłonie tak gęstym porośnięte włosiem, że przypominało ono raczej zwierzęce futro; przygarbione cielsko było potężne - nadnaturalnie szerokie bary rozsadzały szkarłatną szatę, odsłaniając ramiona potwora; Murilo zauważył, iż porasta je futro równie gęste jak na dłoniach. Spod kaptura wyzierała zdecydowanie zwierzęca fizjonomia; Murilo musiał jednak uznać za prawdziwe stwierdzenie Nabonidusa, iż bestia owa jest czymś więcej niż tylko zwierzęciem; było w czerwonych, złośliwych oczkach, niezgrabnej postawie, w całym wyglądzie owej istoty coś, co różniło ją od zwierząt.

Monstrualne ciało kryło rozum i duszę zapowiadające rychłe zmagania o prawdziwe człowieczeństwo.

Murilo stał jak wryty, zauważając odległe podobieństwo pomiędzy swoim własnym rodzajem a siedzącym w kucki potworem; zrobiło mu się słabo na myśl o otchłaniach zwierzęcości, z których ludzkość wydzwignęła się w trwającej eony morderczej wspinaczce.

- Bez ochyby nas widzi - warknął Conan. - Czemuż więc nie atakuje? Mógłby z łatwością przebić się przez to okno.

Teraz dopiero Murilo zdał sobie sprawę, że Conan bierze lustro za okno, przez które wyglądają z lochu. - On nas nie widzi - odezwał się kapłan. - Zaglądamy do komnaty leżącej nad nami, a drzwi pilnowane przez Thaka to te u szczytu schodów. To tylko prosty układ luster - czy widzicie te zwierciadła na ścianach? Przekazują odbicie wszystkiego, co się dzieje w komnacie, do tych rur, wzdłuż których inne lustra przesyłają obraz dalej, by ostatecznie wyświetlić go w powiększeniu na tym dużym zwierciadle przed nami.

Murilo uświadomił sobie, że kapłan, by dokonać takiego wynalazku, musi wyprzedzić swą epokę o stulecia; Conan zaś uznał to wszystko za czarną magię i nie próbował nawet z wywodu kapłana nic pojąć.

- Kazałem zbudować ten loch, by służył jako więzienie i miejsce schronienia zarazem - mówił dalej Nabonidus. - Bywało, że ukrywałem się tu i poprzez lustra widziałem, jak dokonywała się kaźń na żądnych mej krwi zbirach.

- Lecz czemu Thak pilnuje tych drzwi? - zdumiał się Murilo.

- Musiał słyszeć opadnięcie kraty w tunelu - jest połączona z dzwonkiem w komnacie powyżej; wie, że ktoś jest w lochu i czeka, aż człek ten wejdzie po schodach na górę. Dobrze przyswoił sobie nauki, jakich mu udzielałem; widywał, co działo się z ludźmi wychodzącymi przez te drzwi, gdy pociągałem za linę wiszącą tam, na ścianie; teraz czeka, by mnie naśladować.

- Cóż mamy czynić, skoro owo monstrum waruje pod drzwiami?

- Możemy go tylko obserwować; dopóki jest w komnacie, nie śmiejmy nawet wejść po schodach. Thak ma siłę goryla i z łatwością mógłby nas rozszarpać na strzępy. Ale nie potrzebuje używać swych mięśni; jeśli otworzymy te drzwi, wystarczy że pociągnie za linkę, a przeniesiemy się do wieczności.

- Jakimż to sposobem? - zaciekawiał się Murilo.

- Zgodziłem się dopomóc wam w ucieczce - odparł kapłan. - Nie pomnę jednak, iżbym obiecywał zdradzać me sekrety.

Murilo chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz zastygł z otwartymi ustami, a wzrok jego zawisł na zwierciadle; Conan i Nabonidus także zbliżyli twarze do błyszczącej tafli.

Ukradkiem czyjaś dłoń rozchyliła zasłony przed jednym z wejść wiodących do położonej nad nimi komnaty. W szczelinie ukazała się czarniawa twarz o błyszczących oczach; groźne spojrzenie spoczęło na pogrążonej w fotelu zgarbionej postaci w czerwonym habicie.

- Petreus! - syknął kapłan. - Na Mitrę, cóż za zgromadzenie sępów ogląda dzisiejszej nocy mój dom! Twarz pozostała w obramieniu zasłon, a za nią pojawiły się następne - ciemne, szczupłe, jednako napiętnowane żądzą mordy. - Cóż oni tu robią! - Murilo odruchowo ściszył głos, choć powinien był pamiętać, że niespodziewani przybysze nie mogą go słyszeć.

- Hm, cóż może robić w domu Czerwonego Kapłana Petreus wraz ze swymi żarliwymi nacjonalistami? - zaśmiał się Nabonidus. - Spójrz, z jaką nienawiścią ślepią na postać, którą biorą za swego najgorszego wroga - popełniają ten sam błąd, co ty. Pysznym zaiste widokiem będą ich miny, kiedy owo złudzenie się rozwieje.

Murilo nic nie odpowiadał. Cała ta sytuacja miała dlań wyraźny posmak fantazji i ułudy: miał wrażenie, iż jest na przedstawieniu marionetek lub raczej czuł się jak bezcielesny duch obserwujący żywych ludzi, nieświadomych ani jego obecności, ani tego, iż są przez kogoś widziani.

Młody szlachcic nie miał pewności, czy Thak wyczuwał obecność intruzów; w każdym razie nie dawał tego po sobie poznać - siedział, jak przedtem, zwrócony plecami do drzwi, przez które lada moment mieli wpaść do komnaty skrytobójcy.

- Przybywają w takich samych, jak twoje, intencjach - szepnął Nabonidus do ucha Murila - tyle tylko, że z powodów patriotycznych raczej niż osobistych. Teraz, gdy pies jest martwy, jakże łatwo dostać się do mego domu. Ach, jakąż miałbym okazję, by się ich teraz pozbyć - raz na zawsze! Gdybym to ja siedział w fotelu zamiast Thaka... jeden skok ku ścianie... szarpnięcie za linkę...

Petreus ostrożnie uniósł stopę nad progiem komnaty; jego towarzysze tłoczyli się tuż za nim, a ich obnażone sztylety połyskiwały z lekka w półmroku korytarza.

Nagle Thak zerwał się z fotela i rzucił się ku spiskowcom. Ci, nastawieni na to, iż ujrzą znienawidzoną, lecz dobrze znaną postać Nabonidusa, zostali w pełni zaskoczeni koszmarnym widokiem szarżującej bestii; w drzazgi poszły ich determinacja i odwaga, ustępując miejsca dzikiej panice. Wydawszy okropny krzyk Petreus cofnął się, pociągając za sobą swych towarzyszy - powodowani nieopisaną trwogą wpadali na siebie w wąskim przejściu, przewracając się wzajemnie i potykając o ciała leżących. W tej chwili Thak jednym pokracznym susem dopadł ściany, schwycił grubą, aksamitną linę - i szarpnął.

Natychmiast kotary po obu stronach wejścia rozsunęły się odsłaniając korytarz, a z góry coś śmignęło ze szczególnym srebrzystym pobłyskiem.

- On pamiętał! - triumfował Nabonidus. - Ta bestia jest prawie człowiekiem! Był kiedyś świadkiem podobnej kaźni i zapamiętał wszystko! Uważajcie teraz! Patrzcie!

Murilo zorientował się, iż to, co przegrodziło wejście, było grubą, szklaną płytą. Dostrzegając poblądłe twarze konspiratorów; Petreus, wyrzuciwszy przed siebie ręce jakby w obawie przed atakiem Thaka, napotkał przezroczystą barierę i gestykulując jął coś tłumaczyć swym kompanom.

Teraz, gdy kotary były odciągnięte na boki, trzech mężczyzn w lochu mogło widzieć wszystko, co działo się w części korytarza mieszczącej stłoczonych nacjonalistów.

Opanowani przerażeniem, rzucili się pędem w stronę, z której nadeszli - po to tylko, by odbić się od krzepkiej a niewidzialnej ściany.

- Szarpnięcie za linę zamyka ów korytarz - chichotał Nabonidus. - To proste: szklane tafle zsuwają się w rowkach wyżłobionych w futrynie; pociągnięcie liny zwalnia sprężynę trzymającą tafle. Opadają one, a zatrask uniemożliwia ich podniesienie. Podnieść je można tylko z zewnątrz. Szkło jest odporne na uderzenia - nawet kowalski młot nie mógłby go rozbić.

Schwytanych w pułapkę ludzi ogarnęła histeryczna trwoga - miotali się dziko od jednych do drugich drzwi; łomocząc na próżno w kryształowe ściany, wygrażali pięściami w stronę nieubłaganej czarnej postaci, która przykucnęła na zewnątrz, spokojnie obserwując zachowanie pojmanych spiskowców.

Wtem jeden z nich odchylił głowę, spojrział w górę i, jak można było sądzić z ruchu jego warg, począł krzyczeć, wskazując ręką na sufit.

- Opadnięcie tafli wyzwala Tuman Śmierci - wyjaśnił usłużnie Czerwony Kapłan, zanosząc się dzikim śmiechem. - Jest to pyłek szarego lotosu, porastającego Moczary Nieboszczyków, hen, poza granicami krainy Khitaju.

Z powały w korytarzu opuszczała się z wolna kiść złotych pąków; otwierały się jak płatki wielkiej, przekwitłej róży, a spływały z nich fale szarawej mgiełki,

stopniowo wypełniającej zamkniętą szklanymi taflami przestrzeń. Natychmiast histeria panujący wśród pojmanych spiskowców ustąpiła miejsca szaleństwu i grozie. Ludzie w korytarzu zaczęli się potykać, zataczać jak pijani, a piana wystąpiła na ich wykrzywione odpychającym śmiechem usta. Z wściekłością rzucali się na siebie, tnąc, gryząc, drąc pazurami, mordując w obłądnej masakrze.

Murilo poczuł, iż chwytają go mdłości; dziękował bogom za to, że nie musiał słyszeć krzyków i jęków, od których zapewne aż drżały ściany fatalnego korytarza. Bezgłośna tragedia przypominała mu teatr cieni.

W pobliżu miejsca kaźni, tuż przy szklanej tafli, Thak podrygiwał ze zwierzęcą radością, wyrzucając wysoko w górę owłosione ramiona. Za plecami Murila Nabonidus chichotał jak strzyga:

- Och, cóż za piękny sztych, Petreusie! Uczciwie go wypatroszyłeś! A ten cios dla ciebie, mój patriotyczny przyjacielu! Nareszcie! Padli już wszyscy, a żywi ociekającymi śliną zębami szarpią ciała martwych!

Murilo zadrżał; stojący za nim Cymmeryjczyk cicho przeklinał w swym chropawym języku. Śmierć objęła władzę nad korytarzem wypełnionym szarą mgiełką. Konspiratorzy leżeli, tworząc stos poszarpanych, okaleczonych ciał; zastygli, zwracając ku górze zakrwawione twarze o otwartych ustach, a ponad ich niewidzącymi oczyma z wolna wirowała chmura szarego pyłu.

Thak, zgarbiony niczym olbrzymi gnom, podszedł do ściany i w szczególny sposób pociągnął za linkę.

- Otwiera zewnętrzne drzwi - rzekł Nabonidus. - Na Mitrę! Jest w nim więcej z człowieka, niżlibym mógł przypuszczać. Widzicie: mgiełka wypływa z korytarza i rozprasza się, a on dla bezpieczeństwa czeka. Teraz podnosi drugą taflę - jest ostrożny: zna moc szarego lotosu niosącego śmierć i szaleństwo. Na Mitrę! Murilo aż podskoczył, uderzony siłą wyrazu ostatnich słów kapłana.

- Oto pojawia się nasza jedyna szansa - pośpiesznie wyjaśnił Nabonidus. - Jeśli Thak opuści komnatę na kilka chwil, zaryzykujemy wejście po schodach.

W napięciu obserwowali potwora znikającego w korytarzu. Gdy szklane tafle podniosły się, kotary opadły na miejsce zasłaniając wylot komory śmierci.

Kapłan przeciął milczenie:

- Musimy ryzykować! - Murilo wbił wzrok w zroszoną kroplami potu twarz Nabonidusa. - Thak widział kiedyś, jak pozbywałem się ciał i zapewne robi to właśnie teraz. Szybko, za mną na górę! - Tu kapłan rzucił się ku schodom, wbiegając na nie ze zdumiewającą Murila zręcznością. Młody szlachcic i Cymmeryjczyk deptali mu po piętach; po otwarciu drzwi u szczytu schodów z ust Nabonidusa wyrwało się głębokie westchnienie ulgi: Thaka nie było w komnacie.

- Jest w korytarzu z ciałami - zasugerował Murilo. - Czemu nie mielibyśmy schwytać go w pułapkę, tak jak on schwytał Petreusa i jego ludzi?

- Nie, nie... - Nabonidus dyszał, łapiąc oddech, a nienaturalna bladość wystąpiła mu na lica. - Nie mamy pewności, czy on rzeczywiście tam jest; poza tym może wyjść, nim zdążymy dopaść liny. Podążajcie za mną korytarzem - muszę dostać się do swej komnaty, skąd wezmę broń zdolną unicestwić Thaka. Ten korytarz jest jedynym wolnym od pułapek.

Ruszyli za nim, szybko dopadając zasłoniętych kotarą drzwi, które leżały naprzeciwko wejścia do komory śmierci, i znaleźli się w korytarzu; w obłądnym pośpiechu Nabonidus jął próbować kolejno drzwi po obu stronach. Wszystkie były zamknięte.

- Na Mitrę! - Czerwony Kapłan zatoczył się i oparł o ścianę, a skóra jego przybrała barwę popiołu. - Drzwi są pozamykane, a Thak odebrał mi klucze. Wpadliśmy w pułapkę.

Murilo, sam poblady, okrągłymi oczyma patrzył na ogarniętego paniką kapłana; ten jednak po chwili wziął się w garść.

- Ta bestia mnie przeraża - oświadczył. - Gdybyście, tak jak ja, widzieli go rozszarpującego ludzi... Mitro wspomagaj nas! Teraz musimy z nim walczyć tym, co nam bogowie dali. Chodźcie!

Poprowadził ich z powrotem ku zasłoniętemu kotarą wejściu do okrągłej komnaty i wyrztał przez szparę właśnie w chwili, gdy Thak wychynął z drzwi po przeciwnej stronie. Od razu widać było, że bestia coś podejrzewa. Małe, nisko osadzone uszy Thaka strzygły czujnie; potwór rzucał wokoło gniewne spojrzenia i zbliżywszy się do pierwszych z brzegu drzwi szarpnął w bok zasłonę, by sprawdzić, co się za nią kryje.

Nabonidus, trzęsąc się jak liść osiki, cofnął się i uchwyciwszy kurczowo ramię Conana zapytał szeptem:

- Człowiecze, czy odważysz się wystawić swój nóż przeciwko jego kłom? Błysk oczu Cymmeryjczyka starczył za odpowiedź. - Szybko! - syknął kapłan popychając Conana ku ścianie, za zasłonę. - Gdy nas odkryje, co nastąpi lada moment, ja i młodzieniec ściągniemy na siebie uwagę. Jeśli zdołasz, zatop swój nóż w jego plecach, kiedy będzie przebiegał obok ciebie. Ty, Murilo, pokaż mu się, a później uciekaj korytarzem. Mitra wie, że nie mamy nawet cienia nadziei na zwyciężenie Thaka w otwartej walce, ale i tak bylibyśmy zgubieni, wkrótce bowiem odnalazłby nas.

Murilo poczuł, jak krew uderza mu do głowy, ale szybko opanował się i zdecydowanym ruchem odsunął kotarę, na krok wychylając się z korytarza.

Thak, buszujący właśnie po przeciwnej stronie komnaty, odwrócił się, spojrzął i

skoczył w stronę Murila z grzmiącym rykiem. Szkarłatny kaptur zsunął mu się na plecy, odsłaniając czarną, niekształtną głowę; czarne łapy i tkanina habitu unurzane były w jaśniejszej czerwieni. Gdy tak szarżował w poprzek komnaty obnażywszy kły, wyglądał jak czarno-czerwony upiór, a krótkie, krzywe nogi zaskakująco lekko unosiły ogromne cielsko.

Murilo odwrócił się i śmignął w górę korytarza; choć strach dodał jeszcze chyżości jego nogom, kosmaty potwór już mu siedział na karku.

Gdy Thak mijał kotarę, Conan wystrzelił spoza niej, spadając na ramiona małpoluda i w tym samym momencie pogrążając puginał w jego plecach. Thak zawrzasnął przerażająco, a impet zwałił go z nóg; szczepieni przeciwnicy huknęli o podłogę, natychmiast tworząc wir splecionych w straszliwych zapasach członków, z trzaskiem kości przemieszczający się po komnacie.

Murilo spostrzegł, że barbarzyńca zacisnął nogi na torsie bestii i starając się utrzymać pozycję na jej plecach raz za razem zadawał ciosy puginałem. Thak usiłował tak przemieścić uwieszzonego na swych plecach wroga, by ten znalazł się w zasięgu olbrzymich kłów, szczękających co chwila z dziką żądzą zmiżdżenia ciała napastnika. W huraganie ciosów, spowici w strzępy szkarłatnej szaty walczący przeciwnicy przetoczyli się korytarzem, a poruszali się tak szybko, iż Murilo, obawiając się, że mógłby porazić Conana, nie odważył się użyć krzesła, które zdążył schwycić.

Pomimo przewagi wynikającej z zaskoczenia i pierwszego chwytu Conana, pomimo czerwonej szaty omotującej członki małpoluda i krępującej przez to jego ruchy nadnaturalna siła Thaka zaczęła przeważać - wolno, lecz nieubłaganie przyciągał Cymmeryjczyka ku swej dyszącej żądzą mordy paszczyce.

Małpolud otrzymał już tyle ciosów, iż, równo obdzielone, mogłyby zabić tuzin ludzi. Puginał Conana raz za razem tonął w plecach, torsie i byczym karku krwawiącej już obficie z licznych ran bestii; gdyby jednak ostra stal nie sięgnęła lada chwila jakiegoś witalnego organu, nadludzka żywotność Thaka wystarczyłaby do rozszarpania Conana, a po nim dwóch jego towarzyszy.

Cymmeryjczyk także walczył jak dzika bestia - w kompletnej ciszy, z rzadka tylko przerywanej sapnięciami z wysiłku; czarne pazury potwora darły ciało Conana, a stalowy uchwyt niekształtnych łap nieuchronnie przybliżał twarz barbarzyńcy do mierzących w jego gardło kłów.

Wtem Murilo dojrzał właściwy moment - skoczył, zamachnąwszy się krzesłem i z siłą wystarczającą do zmiżdżenia ludzkiej czaszki, uderzył. Ciężkie krzesło odbiło się od kosmatego łba, lecz zamoczony na ułamek sekundy potwór rozluźnił dusicielski uścisk, a wtedy dyszący i broczący krwią Conan zadał cios, pogrążając puginał aż po rękojęść w sercu bestii.

Konwulsyjny skurcz przebiegł ciało małpoluda; chciał jeszcze powstać z podłogi, ale zdążył tylko unieść się nieco, wytrzeszczył oczy i opadł bezwładnie, a członki jego zadrżały w ostatnim skurczu. Znieruchomiał.

Conan z wolna dźwignął się na nogi i zatoczył lekko; wierzchem dłoni otarł pot i krew zalewające mu oczy; krew kapłała z jego palców i z puginału, a z ramion, ud i torsu ściekała cieniutkimi strużkami. Murilo doskoczył doń, by go podtrzymać, ale barbarzyńca odpędził go niecierpliwym gestem:

- Kiedy nie będę mógł ustać o własnych siłach, będzie to znak, że umieram - wymamrotał opuchniętymi wargami. - Ale puchar wina z chęcią bym wychylił.

Nabonidus wbił wzrok w leżącego sztywno Thaka, jak gdyby nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Czarny, odrażająco kosmaty potwór przedstawiał widok groteskowo-makabryczny: leżał spowity w strzępy szkarłatnej szaty, bardziej jednak ludzki niż zwierzęcy i to przydawało jego martwemu ciału szczególnego patosu.

Nawet Cymmeryjczyk uległ podobnemu wrażeniu, ozwał się bowiem przerywając ciszę:

- Pokonałem dziś człowieka, nie zwierzę; zaliczę go pomiędzy najmężniejszych spośród tych, których dusze wysłałem w krainę wiecznej ciemności, a moje kobiety będą śpiewać o nim pieśni.

Nabonidus schylił się i podniósł pęk kluczy na złotym łańcuchu, spadły one z szyi małpoluda podczas walki. Skinął na swych towarzyszy, by poszli za nim i poprowadził ich do komnaty. Tu Nabonidus otworzył jedno z drzwi i pierwszy wszedł do środka. Izba ta, podobnie jak inne, była rzęsiście oświetlona;

Czerwony Kapłan wziął ze stołu flakon z winem i napełnił kryształowe puchary; gdy zaś jego goście łapczywie gasili pragnienie, rzekł:

- Cóż za noc mamy za sobą! Już prawie świta; co zamierzacie czynić?

- Jeśli dasz mi bandażę i resztę potrzebnych do tego rzeczy, opatrzę rany Conana - rzekł Murilo, na co Nabonidus skinął głową i ruszył w stronę wyjścia. Jakaś ulotna zmiana w pochyleniu głowy kapłana zwróciła uwagę Murila...

Stojący w drzwiach Nabonidus odwrócił się nagle z odmienioną twarzą: oczy zaśniły mu triumfalnym blaskiem, a okrutne usta wykrzywił bezgłośny śmiech:

- Tacy sami łajdacy - w głosie brzmiała nuta drwiny. - Lecz nie tacy sami głupcy! Głupcem jesteś ty, Murilo!

- Co masz na myśli - młody szlachcic uniósł stopę, chcąc ruszyć z miejsca.

- W ty! - głos Nabonidusa ciął jak bicz. - Jeszcze krok, i zniszczę was.

- Cóż to za zdrada? - krzyknął Murilo. - Wszak przysięgałeś...

- Przysięgałem, że nie opowiem królowi dykteryjki o tobie; nie przysięgałem, że nie wezmę spraw w swoje ręce, gdy nadarzy się po temu sposobność. Zali

myślisz, że mógłbym przepuścić taką okazję? W normalnych okolicznościach nie odważyłbym się zabić cię bez błogosławieństwa króla, ale o tym, co się zaraz tu stanie, nikt się nie dowie - traficie do kadzi pełnej kwasu, razem z Thakiem i nacjonalistycznymi głupcami, i wszelki ślad po was zginie. Cóż to była dla mnie za noc! Jeślim nawet stracił cenne sługi, to zarazem pozbyłem się groźnych nieprzyjaciół. Stójcie! Jestem na progu i nie możecie mnie dopaść, nim szarpnę za linę, by was posłać do piekieł! Prawie każda komnata w mym domu jest pułapką - nie szary lotos tym razem, a coś równie skutecznego: a więc, Murilo, ty głupcze...

...zbyt szybko, by wzrok mógł nadążyć, Conan schwycił stołek i cisnął nim; Nabonidus instynktownie poderwał ramię - lecz nie zdążył: ciężki pocisk dosięgnął jego czaszki.

Czerwony Kapłan zachwiał się i padł twarzą naprzód, a dookoła jego głowy szybko poczęła się tworzyć ciemnopurpurowa kałuża.

- Jego krew była jednak czerwona - mrukną Conan.

Murilo poczuł, jak uginają się pod nim kolana - nagła ulga odebrała mu siły i musiał się wesprzeć o stół, by nie upaść; drżącą rozcapierzoną dłonią ogarnął ociekające potem trwogi włosy. Słabym głosem powiedział:

- Świta - uchodźmy stąd, zanim dopadnie nas jakaś nowa wraża siła. Jeśli uda nam się wspiąć na mur zewnętrzny tak, by nikt tego nie zauważył, nie padnie na nas podejrzenie w związku z wydarzeniami tej nocy - pozwólmy gwardii, by sama dopisała wytłumaczenie całej tej historii.

Dreszcz przebiegł przez ramiona. Murilo, kiedy spojrzał na pławiące się we krwi ciało Nabonidusa.

- Był jednak głupcem - gdyby nie zatrzymał się, by z nas szydzić...

- Hm - rzekł spokojnie Conan. - Spotkał go koniec pisany - prędzej czy później - każdemu łajdakowi. Mam ochotę splądrować ten dom, ale zniknijmy stąd lepiej. Kiedy wymknęli się już z ogrodu spowitego oparami rozświetlanymi przez wstający świt, odezwał się Murilo:

- Czerwony Kapłan odszedł w ciemności zaświata, moja przyszłość tedy w tym mieście w różowych jawi się kolorach i nie muszę się już niczego obawiać. Ale coź będzie z tobą, przyjacielu? Nie przycichła jeszcze sprawa kapłana z Labiryntu, więc...

- I tak znudziło mi się już to miasto. - Szeroki uśmiech rozpromienił twarz Conana. - Gadałeś coś o koniu, co ma czekać w Szczurzej Norze; ciekawym sprawdzić, jak szybko ten rumak zdoła mnie zanieść do sąsiedniego królestwa. Wiele jeszcze gościńców chcę przemierzyć, zanim odejdę drogą, którą Nabonidus podążył dzisiejszej nocy.

Przełożył: Stanisław Plebański

e-Bookversion by[**ch@to**]